



Ministerstwo
Obrony Narodowej

ROZBICIE WOJNY II WOJNY ŚWIATOWEJ

POLSKA BROJNA

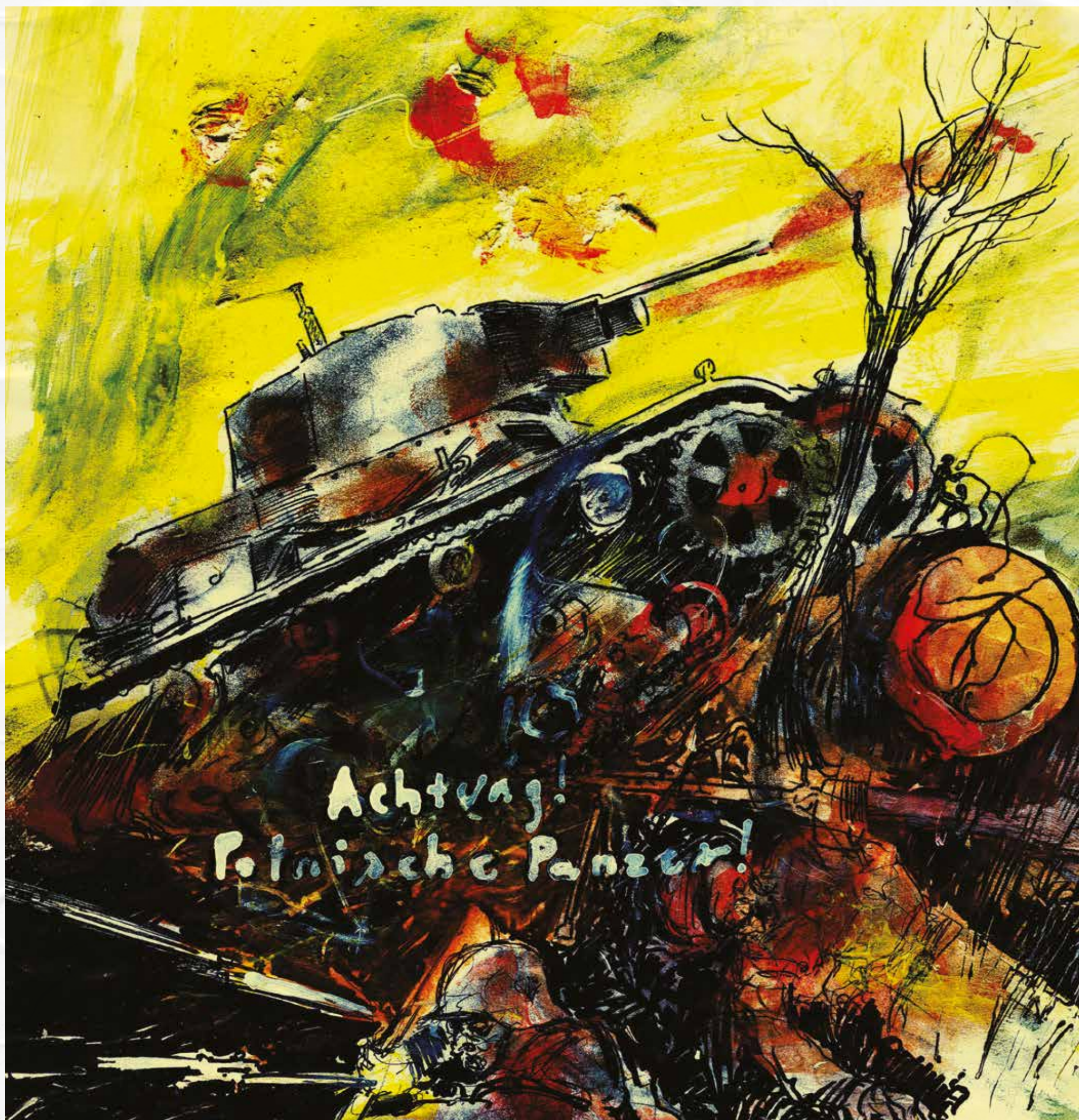
Warszawa, 1 i 17 września 2026

Dziś

Wrzesień zagwiany

'39

– wspominamy bohaterską walkę
żołnierza polskiego



Rys. Piotr Korczyński

*Pluton czołgów 7TP z armatką czołgową
Bofors wz. 37 kal. 37 mm w czasie ćwiczeń.
Narodowe Archiwum Cyfrowe*



CZOŁGI DO ATAKU!

W polskich planach wojennych Lubelszczyzna miała być jedynie zapleczem gospodarczym dla walczącego Wojska Polskiego. Pierwsze dni II wojny światowej zweryfikowały brutalnie to założenie. Rejon ten stał się polem ciężkich i wyczerpujących bojów z najeźdźcami, a Tomaszów Lubelski znalazł się w ich epicentrum.

Piotr Korczyński

Po przegranej bitwie granicznej 4 września 1939 roku Wojsko Polskie oparło swą obronę na Wiśle, na linii Modlin – Sandomierz. Na dowódcę tego odcinka marszałek Edward Rydz-Śmigły wyznaczył dotychczasowego inspektora armii, generała dywizji Tadeusza Piskora. Jego sztab miał stacjonować w Lublinie i tak też nazwano podległą mu armię, zmontowaną naprędce z różnych mniej lub bardziej przetrzebionych przez Niemców jednostek. Największą wartość bojową wśród tej zbieraniny z rozbitych armii „Pomorze”, „Poznań”, „Łódź” czy „Prusy” miała niewątpliwie Warszawska Brygada

Pancerno-Motorowa pułkownika dyplomowanego Stefana Roweckiego, choć należy pamiętać, że weszła do walki jako formacja nie w pełni zorganizowana.

Dynamiczna i, niestety, niekorzystna dla nas sytuacja na froncie szybko zweryfikowała nazbyt ambitne zadanie, które postawiono Armii „Lublin”. Najpierw skrócono znacznie jej odcinek obrony. A kiedy okazało się, że utrzymanie linii Wisły jest niemożliwe, nakazano odwrót. 13 września niemieckie wojska w Solcu i Annopolu sforsowały największą polską rzekę. Jednocześnie marszałek Rydz-Śmigły zreorganizował swe siły: stworzył trzy nowe fronty Północny, Południowy i Środkowy. Ten ostatni stanowiły Armia „Lublin” oraz Armia „Kraków” pod dowództwem generała dywizji Anto-

niego Szyllinga, który zdołał wycofać się na Lubelszczyznę. Naczelne dowództwo nad obiema armiami otrzymał generał Piskor z rozkazem przebiecia się w kierunku Lwowa. Było to kolejne zadanie ponad siły wyczerpanego walkami i odwrotem wojska, gdyż Niemcy szybko znaleźli się w rejonie Zamościa. A to oznaczało, że są już na tyłach Armii „Lublin”.

Nadzieja w czołgach

Przed południem 16 września generał Piskor dotarł do Smółska, gdzie kwatrował generał Szylling ze swym sztabem. Piskor poinformował Szyllinga o sytuacji na froncie i rozkazie naczelnego wodza o podporządkowaniu mu Armii „Kraków”. Po tych formalnościach obaj dowódcy zasiedli do planów jak najszybsze-

go przedarcia się na wschód, do Lwowa. Dowódca Armii „Kraków” proponował, by główne siły Grupy Armii, jak nazwano podległe generałowi Piskorowi jednostki, pomaszerowały na Narol, podczas kiedy Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa powinna zaatakować Tomaszów Lubelski i jak najdłużej wiązać tam walką Niemców. Generał Piskor odrzucił ten plan i zdecydował, że gros jego sił uderzy na Tomaszów Lubelski, by dalej przebiegać się na Rawę Ruską. Trzonem tego uderzenia miała być Brygada Pancerno-Motorowa pułkownika Roweckiego.

Według Piskora czołgi i samochody pancerne warszawskiej brygady miały zaskoczyć nieprzyjaciela i uniemożliwić mu szybkie ściągnięcie posiłków oraz blokadę dróg. Szkopał w tym, że wów-

**Wrzesień
1939.
Pamiętać,
aby chronić
przyszłość
Polski**

Rocznica wybuchu II wojny światowej to dzień pamięci, zadumy i przypomnienia o ogromnej odpowiedzialności. Wracamy myślą do 1 września 1939 roku, kiedy hitlerowskie Niemcy bez wypowiedzenia wojny napadły na Polskę i rozpoczęły najstraszliwszy konflikt w dziejach świata. Wracamy także do 17 września, gdy od wschodu na Rzeczpospolitą uderzyła Armia Czerwona. Przejawem realizacji postanowień paktu Ribbentrop-Mołotow stał się kolejny rozbiór naszego państwa przez ZSRS i III Rzeszę. Polska padła ofiarą dwóch totalitaryzmów, które wspólnie

podeptały prawo międzynarodowe i prawo narodu do życia w wolności. Nasz naród stanął samotnie wobec dwóch imperiów zła.

II wojna światowa przyniosła Polsce cierpienie o skali trudnej do wyobrażenia. Miliony zamordowanych obywateli, zagłada polskich Żydów, pacyfikowane wsie, zburzone miasta, obozy koncentracyjne, egzekucje, deportacje, zsyłki na Syberię i do Kazachstanu, zbrodnia katyńska oraz utrata ogromnej części narodowego majątku to bilans barbarzyństwa, którego ofiarą stał się nasz naród. Żadna liczba nie odda jednak dramatu rodzin rozdzielonych

przez wojnę, dzieci pozbawionych rodziców i pokoleń, którym odebrano spokojną przyszłość. Za każdym razem, gdy staję przed Grobem Nieznanego Żołnierza, myślę przede wszystkim o pokoleniu, które zapłaciło najwyższą cenę. Pamięć o tamtych wydarzeniach jest dziś naszym moralnym obowiązkiem. Zwłaszcza w czasach, gdy coraz częściej jesteśmy świadkami prób relatywizowania historii, zacierania granicy między ofiarą a sprawcą czy podważania oczywistych faktów. Polska była pierwszą ofiarą II wojny światowej. Została napadnięta przez hitlerowskie

czas brygada cierpiała już na brak paliwa. Pułkownik Rowecki musiał podjąć radykalne działania, by wykonać zadanie. Tak o tym pisał: „Katastrofa z benzyną. Dowódzcy odcięty od szeregu dni [...]. Musiałem więc wydać drakońskie rozkazy co do likwidacji naszego taboru samochodowego. Kilkaset wozów brygady kazałem zostawić i ściągnąć z nich benzynę. Z trudem zdobyliśmy 3000 litrów, na ogólną ilość potrzebną na dzień marszu 100 km ok. 10 tys. litrów”. Trzeba też dodać, że załogi czołgów i tankietek, podobnie jak większość żołnierzy Grupy Armii, były u granic wytrzymałości po prawie trzech tygodniach nieprzerwanych walk. Jakby tego nie było dość, 17 września za pośrednictwem radia dowódcy dowiedzieli się o sowieckiej agresji. Jednocześnie niemieckie korpusy, w tym XXII Korpus Armijny generała Paula Kleista, otrzymały rozkaz zamknięcia polskich jednostek w kotle między Zamościem a Tomaszowem Lubelskim.

Pancerna szarża

W nocy z 17 na 18 września Warszawska Brygada Pancerno-Motorowa zajęła pozycje wyjściowe do ataku. Natarcie planowano rozpocząć o godz. 5.00, ale z powodów trudności ze sprzętem (benzyna i usterki) opóźniono je o godzinę. Naprzeciw polskim pancerniakom stały poważne siły. Drogi prowadzące do Tomaszowa Lubelskiego były blokowane przez oddziały zmotoryzowane i przeciwpancerne niemieckiej 4 Dywizji Lekkiej. W rejonie miejscowości Rogóźno, Pasieki i na południowy zachód od miasta Niemcy wybudowali liczne umocnienia polowe ze stanowiskami broni przeciwpancernej. Wydawało się, że znacznie już osłabiona polska brygada nie zdoła przebić się przez te pozycje. Ale jej czołgi 7TP, Vickersy i TKS, mimo huraganowego ognia, parły do przodu, zdobywały kolejne transzeje i wygrywały

pojedynki z nieprzyjacielskimi wozami pancernymi.

W Rogóźnie Niemcy kontratakowali i dzięki przewadze w czołgach wyrzucili z miasta szwadrony II Pułku Strzelców Konnych Zmotoryzowanych. Po przełamaniu niemieckiej obrony w Pasiekach zaś zgrupowanie pancerne brygady, nie napotkawszy już większego oporu, dotarło na skraj lasu okalającego miasto. Kiedy wozy pancerne wyjechały z drzew, powitał je gęsty ogień z nieprzyjacielskich czołgów i samochodów pancernych. Jednak impet szarży był tak wielki, że polscy żołnierze od razu wdarli się na przedmieścia. Z marszu zdobyto zaciekle bronione przez Niemców koszary i zajęto pół miasta, dochodząc do ulicy Lwowskiej. Żołnierze Wehrmachtu zaczęli wycofywać się w panice, porzucali swą broń i sprzęt. W ręce pancerniaków wpadła m.in. bateria dział przeciwpancernych. Ponadto zniszczono sześć niemieckich czołgów, cztery samochody pancerne, osiem ciężarówek i uwolniono całą kompanię polskich jeńców. W ataku na koszary i budynki na ulicy Lwowskiej szczególnie wyróżniła się kompania porucznika Włodzimierza Hermana, sformowana ze spieszonych czołgistów, którzy we wcześniejszych walkach stracili swe maszyny.

A to nie był jeszcze koniec sukcesów, gdyż pluton czołgów 7TP, jadący leśnym traktem z miejscowości Pasieki, bez przeszkód dotarł do południowych przedmieść Tomaszowa i ubezpieczył teren z kierunku Rawy Ruskiej. Niebawem dołączył doń pluton motocyklistów. W samym mieście zdołano jeszcze przechwycić i rozbić kolumnę niemieckich czołgów i ciężarówek usiłującą przedrzeć się w kierunku Zamościa. Do 13.00 polscy żołnierze oczyścili zupełnie z wojsk nieprzyjaciela zdobyte ulice. Jednak nie mogli się długo cieszyć z tego zwycięstwa.



Wizyta dowódcy Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej płk. dypl. Stefana Roweckiego w koszarach I Pułku Strzelców Konnych. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Do ostatniego czołgu

Około godz. 14.00 do Tomaszowa zaczęli docierać gońcy z meldunkami, że w kierunku miasta od strony Bełżca podążają niemieckie kolumny pancerne i zmotoryzowane. Jednocześnie z części miasta kontrolowanej przez Niemców uderzyły czołgi wsparte przez piechotę. Dowódca polskiego zgrupowania, podpułkownik Zenon Wzacny, rozkazał wycofać się z Tomaszowa. Polscy pancerniacy i strzelcy zmotoryzowani powrócili na pozycje wyjściowe, z których rano szli do ataku, i tam zorganizowali obronę. Odpierali niemieckie natarcia pancerne do końca dnia i dopiero zachód słońca przyniósł wytchnienie od walki. Ale na krótko – to nie miała być spokojna noc.

O północy 19 września polskie czołgi i tankietki znowu ruszyły z lasu do ataku na Tomaszów. Mimo że był on równie gwałtowny i zdeterminowany co dzień wcześniej, tym razem natarcie załamało się w huraganowym ogniu nieprzyjacielskim. Dziesiątkowana piechota opuściła czołgi, a te, pozbawione osłony, także się wycofały. Brygadzie pozostało jedynie sześć sprawnych czołgów 7TP, jeden Vickers i dwie tankietki TKS. Żołnierze, którzy przeżyli walkę, byli skrajnie wyczerpani, a dodatkowo ich nerwy drażniły niemieckie gigantofony, z których nadawano komunikaty o sowieckiej agresji. Z tego powodu kilku oficerów popełniło samobójstwo.

W tej ekstremalnej sytuacji generał Piłskor zdecydował się na jeszcze jedną próbę wyrwania się z kotła. Pozostałym na chodzie siedmiu czołgom Warszawskiej

Brygady Pancerno-Motorowej wyznaczono zadanie utorowania drogi przez niemieckie gniazda broni maszynowej pod Rogóźnem. Czołgi w osłonie batalionu II Pułku Piechoty o 1.00 w nocy ruszyły do ostatniego ataku. Sześć 7TP i jeden Vickers, znalazłszy się na otwartym terenie, nagle zostały oświetlone reflektorami i rakietami świetlnymi. Noc zmieniła się w dzień, a nieprzyjacielski ogień artyleryjski unieruchomił niemal wszystkie polskie maszyny. Tylko jedna z nich wyrwała się z tej masakry z raną załogą pod pancerzem. Największe starcie polskich pancerniaków we wrześniu 1939 roku dobiegło końca, podobnie zresztą skończyło się ono dla reszty Grupy Armii generała Piskora.

Wobec beznadziejnej sytuacji generał zdecydował się na kapitulację. Na odprawie dowódców pułkownik Rowecki stwierdził wprost: „Ja do niewoli nie pójdę. Wojna jeszcze nie skończona. Będę walczyć dalej. Może we Francji, może gdzie indziej, ale broni nie złożę”. Po powrocie ze sztabu zebrał podkomendnych, którym rozkazał podzielić się na grupy i przedzierać do granicy rumuńskiej lub węgierskiej. Oficerom liniowym nakazał zostać z żołnierzami, a oficerom sztabowym brygady dał wolną rękę. Poleciał też zniszczyć sprzęt i broń. Sam z kierowcą i trzema oficerami przedostał się lasami do dworku Dzieduszyce, skąd w cywilnym ubraniu udało mu się wrócić do Warszawy. W stolicy od razu dołączył do konspiracji i niedługo jako generał „Grot” został jej przywódcą w kraju. ■

Portal Polski Zbrojnej



Lekki czołg 7TP podczas pokonywania nasypu. Domena publiczna

Niemcy, a następnie przez Związek Sowiecki. O tej prawdzie nie wolno milczeć ani pozwolić, by prawda ta została zagłuszona.

Historia Polski z tamtych lat to opowieść o cierpieniu, ale to również epopeja niezwykłego męstwa. Żołnierze Września pokazali światu, czym jest honor i wierność przysiędze. Później Polskie Państwo Podziemne – fenomen bez precedensu w okupowanej Europie. Żołnierze Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i Narodowych Sił Zbrojnych każdego dnia ryzykowali życie w walce z niemieckim i sowieckim okupantem. Równocześnie polscy

żołnierze bili się u boku aliantów pod Tobrukiem, w bitwie o Anglę, pod Monte Cassino, Falaise, Arnhem czy Bolonią, udowadniając, że Polska, choć pozbawiona własnego państwa, nigdy nie przestała walczyć o wolność. Jako minister obrony narodowej czuję szczególną odpowiedzialność za to, aby pamięć o tamtym pokoleniu znajdowała wyraz w konkretnym działaniu tu i teraz. Historia uczy nas bowiem jednej, niezwykle bolesnej prawdy: pokój nie jest dany raz na zawsze. Bezpieczeństwo nie jest stanem, lecz nieustannym wysiłkiem państwa i całego społeczeństwa.

Dlatego najlepszą gwarancją bezpieczeństwa Polski pozostaje silna i nowoczesna armia, silne i wiarygodne sojusze oraz silne, świadome swojej historii społeczeństwo. To są trzy filary naszego bezpieczeństwa. Budujemy je każdego dnia: modernizujemy Siły Zbrojne Rzeczypospolitej Polskiej, umacniamy współpracę z sojusznikami i wzmacniamy narodową odporność. Nie dlatego że chcemy wojny. Właśnie dlatego że chcemy pokoju. Pamięć o ofiarach II wojny światowej zobowiązuje. Jest przestroga przed nienawiścią, imperializmem i pogardą dla ludzkiego życia. Jako minister

obrony narodowej wierzę, że naszym najważniejszym obowiązkiem jest zrobić wszystko, aby tragedia sprzed lat nigdy więcej nie stała się udziałem kolejnych pokoleń Polaków. To nasza odpowiedzialność wobec historii i wobec przyszłości.

Władysław
Kosiński-
Kamysz,
Minister Obrony
Narodowej,
Wicepremier



HISTORIA JEDNEJ ARMATY



Domena publiczna

Zdjęcie wykonano 19 września 1939 roku. Na pierwszym planie widać działo. Za nim stoją oficerowie, a wśród nich jedna postać z charakterystycznym wąsikiem. To Adolf Hitler. Ostatnie oddziały polskich obrońców kapitulowały tu około godz. 16.30.

Radostaw Wiśniewski

Słońce w Gdyni tego dnia zachodziło o 17.55, a zdjęcie jest wyraźne, na tyle mocno jeszcze więc świeciło, by fotografowi udało się zrobić kilka kadrów bez utraty ostrości. Pewnie to moment zaraz po wygaśnięciu walk, pobojowisko było jeszcze ciepłe. Działo, które wypełnia pierwszy plan kadru, to francuska armata morska firmy Canet, model 1891, kal. 100 mm.

Dwa takie działa trafiły do Polski z magazynów floty francuskiej w Hawrze w roku 1925. Początkowo zostały posadowione na kanonierkach, ale potem je zdemontowano i złożono w magazynach. Dopiero w latach 1931–1933 ustawiono je w ramach rozbudowy obrony lądowej baz morskich jako baterię nadbrzeżną, zresztą jedyną, od strony Gdyni. Kiedy wzrosło napięcie, tuż przed wojną – w marcu i czerwcu 1939 roku w obsłudze armat baterii, nazywanej od marki zamontowanego sprzętu potocznie „Baterią Caneta”, przeszkolono grupę rezerwistów. Jednak kiedy doszło do mobilizacji alarmowej, rezerwistów zabrano gdzie indziej. Do baterii skierowano zaś ludzi, którzy nie mieli wcześniej do czynienia z artylerią nadbrzeżną, w tym marynarzy z Flo-

tylli Rzeczej w Pińsku, w rzucających się w oczy białych mundurach.

Odpowiedni człowiek na odpowiednim miejscu

Dowódcą szkieletowej – czy, jak mówiono, „sztyletowej” – obsady baterii został kapitan artylerii Antoni Ratajczyk. Choć do legendy przejdzie nie on, ale oficer artyleryjski, jego zastępca chorąży Stanisław Brychcy.

Ten drugi do marynarki, jeszcze kajzerowskiej, trafił w wieku 17 lat. Brał m.in. udział w bitwie jutlandzkiej, a w roku 1920 zaciągnął się do tworzonej od zera Polskiej Marynarki Wojennej. Służył na kanonierkach, potem na ORP „Wicher”. Jego dowódcą z tamtych czasów, komandor Tadeusz Podjazd-Morgenstern, w opinii o nim napisał: „B. gorliwy, wobec podwładnych wymagający i sprawiedliwy, świetny instruktor i artylerzysta. Ma wielkie zamiłowanie do służby morskiej”.

Po praktyce na niszczycielu chorąży Brychcy został przeniesiony do obsady baterii numer 31 na Helu, czyli „Cypłowej”. Wiosną 1939 roku Brychcy doprowadził do tego, że obsada działa baterii „Cypłowej” umiała w ciągu minuty załadować i odpalić 12 naboju, przy nominalnej szybkostrzelności armaty ośmiu strzałów na minutę. Na Helu mówili na niego, że

jest „starym artylerzystą”, chociaż stopień formalnie na to nie wskazywał. W momencie objęcia stanowiska oficera artyleryjskiego w baterii XI miał 41 lat. Znał też sprzęt, który miał obsługiwać jako oficer artyleryjski baterii, bowiem w końcu lat dwudziestych prowadził kursy artyleryjskie na kanonierce „Generał Haller”. A wtedy właśnie, przez krótki okres, jej uzbrojeniem głównym była armata Caneta – jedna z dwóch, które od 1932 roku utworzyły baterię numer XI.

Wobec miażdżącej przewagi

1 września o poranku przyszły informacje o ataku na bazę Morskiego Dywizjonu Lotniczego w Pucku. Dochodziły też wiadomości o licznych naruszeniach granicy, bombardowaniach i atakach z głębi kraju. Do 13.00 na terenie baterii panował spokój. Właśnie wydano obiad, kiedy nastąpił nalot, który był częścią generalnego ataku lotniczego na Gdynię. To w tym czasie tonęły ORP „Nurek” i ORP „Mazur”. Uszkodzona została też kanonierka „Generał Haller”.

Sama bateria miała do obrony przeciwlotniczej jedynie dwa ciężkie karabiny maszynowe, czyli, mówiąc wprost, była niemal bezbronna. Dzięki maskowaniu polskich [BS2.1] działobitni Niemcy mieli kłopoty z rozpoznaniem właściwych celów.

Rzucali bomb dużo, ale raczej na oślep. Nie uzyskiwali bezpośrednich trafień, co nie oznacza, że obyło się bez strat. Została zniszczona kwatera baterii w zabudowaniach starej latarni, zginęło 13 marynarzy, a sześciu było rannych. Odłamkami bomb zostały trafione oba działa. W jednym odłamek przebił na wylot lufę. W drugim z kolei uszkodzeniu uległy elementy podstawy i przyrządy celownicze. W ciągu popołudnia i nocy udało się, dzięki przełożeniu elementów z jednego niezdadnego do użytku działa do drugiego, uratować część siły bojowej baterii. Całą baterię jednak w zasadzie stanowiło jedno działo.

Pierwsze niemieckie okręty, które Stanisław Brychcy w relacji nazywa „traulermi”, pojawiły się w zasięgu baterii 3 września. Na pytanie dowódcy dywizjonu, czy możliwe jest otwarcie ognia, padła jednak odpowiedź negatywna. Okręty niemieckie były na krańcu donośności armaty, szansa trafienia była mizerna, a ryzyko zdema-



skowania pozycji baterii nie równoważyło możliwego sukcesu.

4 września ponownie pojawiły się z kierunku Gdańska niemieckie kutry trałowe prowadzone przez torpedowiec T-196. I po raz pierwszy bateria rozpoczęła ostrzał z odległości około 12 tys. m. Byskawicznie przeszła ona na ogień ciągły, wystrzelała w krótkim czasie około 50 pocisków i – jak twierdzi Brychcy – użyła trafienie na jednym z niemieckich okrętów. Niemcy postawili szybko zasłonę dymną i odeszli w stronę Gdańska. Po jakimś czasie nad terenem baterii pojawił się niemiecki wodnosamolot i po chwili na ten obszar zaczęły spadać pociski wystrzeliwane przez pancernik „Schleswig-Holstein” stojący w gdańskim porcie. Niemcy wystrzelili tego dnia w kierunku baterii nie mniej niż 20 pocisków głównej artylerii, jednak żaden nie spowodował większych szkód.

5 września w zasięgu ognia pojawiły się ponownie niemieckie kutry trałowe prowadzone przez T-196. Tym razem bateria, czyli samotne, pojedyncze działo, oddawała szybkie strzały. Raz za razem na różnych ustawieniach celownika i – być może – przy użyciu różnych mas ładunków prochowych uzyskano efekt rzekomej „salwy”, czyli niemal jednoczesnego upadku pocisków w rejonie celu. Miało to sprawić na Niemcach wrażenie, że strzela do nich więcej niż jedno działo. Sztuczka, która dzisiaj jest normą przy zautomatyzowanych systemach ładowania dział, komputerowych systemach kierowania ogniem, ale wtedy? Po wystrzeleniu w tym trybie około 20 pocisków Niemcy ponownie postawili zasłonę dymną i wycofali się do Gdańska.

Sytuacja powtórzyła się niemal co do joty kolejnego dnia. Znowu wykryto kutry trałowe, traulery, oddano szybkie strzały imitujące „salwy”, po czym Niemcy się wycofali. W odpowiedzi po południu teren baterii został ostrzelany przez niemieckie trałowce typu M i ponownie przez artylerię pancernika „Schleswig-Holstein”.

Walka do końca

W kolejnych dwóch dniach działo wspierało obronę od strony lądu, oddano łącznie ponad 180 strzałów. Wieczorem 7 września, prawdopodobnie z powodu nadmiernej eksploatacji, zaczął przeciekać opornik i lufa nie wracała do swojego położenia po oddanym strzale.

8 września zastępca dowódcy zapisał, że zaczyna brakować chleba, nie dochodzi też ciepłe jedzenie dla obsługi. Teren baterii kolejny raz bezskutecznie był ostrzeliwany przez pancernik „Schleswig-Holstein”.

Kolejnego dnia, 9 września, działo znowu strzelało do celów lądowych we dnie i w nocy. Znowu na teren baterii spadło około 100 pocisków średniej i 40 pocisków głównej artylerii pancernika „Schleswig-Holstein”, znowu bez strat dla baterii. Kolejny raz jednak zapisane zostały objawy postępującego zużycia dział – zaczęły rozdzielać się lufa rdzeniowa od płaszczowej.

10 września o poranku działo Caneta raz jeszcze ostrzelało niemieckie kutry trałowe, zgoniło je ponownie z podejść do Gdyni i uniemożliwiło prace trałowe. A po południu kolejny raz teren baterii znalazł się pod ogniem niemieckiego pancernika. Tego dnia trzeba było wymienić zamek w ocalałym dziale, który uległ uszkodzeniu. Dawcą tej części było oczywiście uszkodzone w nalocie 1 września działo numer 2.

Następnego dnia czynne działo wspierało znowu obrońców Oksywiu na północy, w rejonie miejscowości Mosty, oddając w tym kierunku około 50 strzałów.

Ponownie spadły na teren baterii pociski ze „Schleswiga-Holsteina”. Podobnie kolejnego dnia działo wspierało obrońców – strzelając do celów lądowych.

13 września z kolei jednodziałowa bateria próbowała zgonić dwa trałowce niemieckie typu M, z których każdy jednak posiadał działo kal. 105 mm. Według słów Stanisława Brychcego – Niemcy strzelali tak, że zmusili baterię do milczenia.

W tym czasie polskie oddziały opuszczały najpierw przedpola Gdyni, a potem samą Gdynię. Cofały się na ostatnią redutę, czyli Oksywie.

14 września rano załoga baterii zauważyła ze zdumieniem, jak do portu zmierzają sporych rozmiarów kawalkada małych jednostek, wyraźnie z zamiarem wysadzenia desantu. Główne działo baterii miało w tym miejscu martwe pole ostrzału. Po raz pierwszy załoga była zmuszona do użycia małokalibrowych działek Hotchkiss, jednak na tyle skutecznie, że flotylla „drobnoustrojów” zawróciła. Tego też dnia bateria ponownie odpowiadała na ogień torpedowca T-196. Dowódca zespołu sił trałujących na Zatoce Gdańskiej komandor Ruge zanotował: „1. flotylla kutrów trałowych podeszła na odległość 1500 m od pławy wejściowej. Wtedy trałowanie zostało przerwane, ponieważ T-196 nie mógł zmusić do milczenia znakomicie zamaskowanej baterii na Oksywiu”.

15 września około 10.00 rano bateria znowu podjęła walkę z niemieckimi trałowcami w rejonie boi wejściowej do portu w Gdyni. Oddała jednak już tylko dwa strzały. Po drugim strzale pękła pokrywa powrotnika i popękały liczne sprężyny w środku, co uniemożliwiało dalsze użytkowanie dział. Naprawa w warunkach polowych była już niemożliwa z braku części.

Edmund Kosiarski pisał w swoich pracach w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, że bateria walczyła do wyczerpania całego zapasu amunicji do głównego dział, co miało nastąpić 19 września 1939 roku. Jeżeli jednak wierzyć relacji zastępcy dowódcy baterii, to od 15 września bateria Canet nie miała już ani jednego sprawnego dział, a jedynie dwa karabiny maszynowe

Rys. Piotr Korczyński



Znowu wykryto kutry trałowe, traulery, oddano szybkie strzały imitujące „salwy”, po czym Niemcy się wycofali.

i dwie armatki salutacyjne 47 mm. Mimo to próbowała nadal zganiać ogniem lekkie siły nieprzyjaciela z wód okalających bezpośrednio Oksywie.

19 września rano Niemcy podeszli tak blisko do brzegów Oksywiu, że niemieckie okręty ostrzeliwały obrońców ogniem z karabinów maszynowych. Równocześnie strzelały dobrze posadowione baterie artylerii polowej i broń maszynowa rozmieszczona na terenie portu w Gdyni. Do tego zaś około 10.00 na teren baterii znowu przeprowadzony został nalot. W jednym schronie amunicyjnym schowała się część załogi baterii i wszyscy ludzie zginęli od wybuchu jednej z bomb. Po południu od strony lądu nadeszły wojska niemieckie. Pozostała przy życiu załoga baterii się poddała.

Kapitulacja

Bilans kilkunastu dni wojennej epopei baterii Caneta, ktoś powie, nie jest imponujący. Nie znamy dokładnie skutków ognia prowadzonego do celów lądowych, chociaż jak wynika z relacji, to do nich ba-

teria wystrzeliła najwięcej pocisków. Walki z celami morskimi skończyły się bez potwierdzonych strat po obu stronach. Ani ostrzał niemieckich trałowców, ani torpedowca T-196, ani „Schleswiga-Holsteina” nie wyrządził większych szkód baterii. I odwrotnie – nie ma żadnych potwierdzonych danych, by ostrzał prowadzony z jednego dział baterii przyniósł Niemcom wymierne straty. Istotne jednak w ocenie działania baterii jest to, że Niemcy nie byli w stanie swobodnie manewrować lekkimi siłami w rejonie Gdyni, że stale musieli przerywać trałowanie podejść do polskiego portu.

Stanisław Brychcy podaje, że ostatecznie bateria skapitulowała 19 września około 19.00 wieczorem. Trudno dyskutować ze świadkiem, ale jednak nieco wcześniejsza godzina jest tutaj bardziej prawdopodobna. Inaczej na pewno Adolf Hitler nie mógłby zrobić zdjęcia, na którym widać na pierwszym planie armatę numer 1 z baterii Caneta. Adolf Hitler na tym zdjęciu ma ciekawą pozycję ciała. Oparł ręce na bokach, a samą głowę ma podaną do przodu w stosunku do reszty ciała, jakby właśnie coś mówił. Może właśnie pyta obecnych na miejscu, niby półżartem, półserio: „Czy wy naprawdę chcecie mi powiedzieć, że ta jedna stara pukawka nie pozwoliła wam wysadzić desantu przez trzy tygodnie?”

Oficerowie wokół się uśmiechają. Może jest im trochę głupio, może nie wiedzą, co powiedzieć, może przed chwilą ktoś opowiadał im o świetnie zamaskowanej wielodziałowej baterii strzelającej szybkimi salwami i teraz jakoś to się nie schodzi z tym jednym, starym, francuskim działem. ■



ŻOŁNIERZE GENERAŁA KLEEBERGA POKONUJĄ CZERWONOARMISTÓW

Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” kojarzy się głównie z walkami z Niemcami pod Kockiem. Zanim jednak do nich doszło, pod koniec września 1939 roku jednostki generała Franciszka Kleeberga starły się z wojskami sowieckimi. Serię zwycięskich potyczek z siłami Armii Czerwonej Polacy stoczyli w okolicach wsi Jabłoń i Milanów.

*Spieszona polska kawaleria
w czasie bitwy pod Kockiem.
Domena publiczna*



*Gen. Franciszek Kleeberg.
Domena publiczna*

wanie kilkanaście czołgów lekkich. Pancerny kontratak załamał się jednak pod ogniem polskich działek przeciwpancernych i granatów ręcznych.

Polacy wzięli ponad 50 jeńców. Po przesłuchaniu dowódca dywizji postanowił odesłać ich do oddziałów. „Bolszewicy zaczęli błagać, aby ich nie odsyłać. [...] Zaczęli się skarżyć na stosunki w wojsku. Opowiadali o nędzy, o złym traktowaniu. [...] Spodziewaliśmy się raczej fanatyzmu i braku krytycyzmu. Bili się przecież dobrze i bardzo ofiarnie. Gdy już wyczerpali swe wszystkie argumenty, zaczęli prosić, aby ich wcielić do polskich oddziałów. [...] Przysięgali, że będą nam wierni i pójdą wszędzie z nami” – pisał generał Epler. Ostatecznie generał Kleeberg zgodził się na wstąpienie Rosjan w szeregi SGO „Polesie”. Wie-

Anna Dąbrowska

Dobre ponad sto trupów żołnierzy sowieckich zostało na polu walki. Przeszło 60 jeńców wziął 79 p.p. Ostatecznym łupem 79 i 83 p.p. było 11 c.k.m., 7 r.k.m., 1 zaprzężone działo, większa ilość broni ręcznej i 10 pełnych amunicji wozów – tak rezultaty bitwy pod Milanowem opisał generał Adam Epler, dowódca Dywizji „Kobryń” z Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie” w książce „Ostatni żołnierz polski kampanii roku 1939”.

Samodzielna Grupa Operacyjna „Polesie” powstała 11 września z zadaniem obrony Polesia i zabezpieczenia polskich wojsk cofających się na wschód przed Niemcami. W jej składzie znalazły się 50 Dywizja Piechoty „Brzoza”, 60 Dywizja Piechoty „Kobryń”, Podlaska Brygada Kawalerii i Dywizja Kawalerii „Zaza”. Na czele SGO stanął generał Franciszek Kleeberg.

Po agresji sowieckiej na Polskę 17 września generał Kleeberg postanowił iść z pomocą broniącej się Warszawie. „Kiedy 28 września do zgrupowania dotarła informacja o kapitulacji stolicy, dowódca zdecydował przebijając się w Góry Świętokrzyskie, aby tam prowadzić walki party-

zanckie” – mówi doktor Tomasz Nowalik, historyk dziejów II wojny. Po drodze maszerujące oddziały SGO „Polesie” natknęły się na siły Armii Czerwonej. Po południu 28 września w okolicy wsi Jabłoń (woj. lubelskie) 9 Pułk Strzelców Konnych został zaatakowany przez sowieckie czołgi i kawalerzystów. Pomimo zaskoczenia, natarcie bolszewików powstrzymały polskie karabiny maszynowe i bateria dział, które zniszczyły cztery czołgi nieprzyjaciela.

Następnego dnia rano Podlaska Brygada Kawalerii opuściła zajmowane stanowiska i wyruszyła w stronę Parczewa. We wsi Jabłoń zastąpić ją miały oddziały Dywizji Piechoty „Kobryń”. Kiedy jej pierwsze kolumny dotarły do pobliskiej wsi Puchowa Góra, nastąpił kolejny atak oddziałów sowieckich. Uderzyły piechota i jednostki pancerne. Atak zatrzymała jednak polska kawaleria. Po wyparciu nieprzyjaciela z Puchowej Góry polskie oddziały zajęły pozycje na skraju miejscowości i artyleria rozpoczęła ostrzeliwanie drogi na Jabłoń oraz sowieckich pozycji obronnych w obrębie tej wioski. Następnie piechota z Dywizji „Kobryń” ruszyła do natarcia i uderzyła na tyły sowieckiej 143 Dywizji Strzeleckiej. Broniących się czerwonoarmistów wsparło niespodzie-





Polska piechota z 1939 roku. Rekonstrukcja. Fot. Piotr Korczyński

czorem oddziały piechoty Armii Czerwonej wsparte czołgami ponownie natarły na Polaków, jednak czerwonoarmiści nie byli w stanie wyprzeć naszych sił ze wsi. Po powstrzymaniu sowieckiego ataku oddziały Dywizji „Kobryn” przeszły do lasów milanowskich.

30 września wieczorem pod Milanowem Sowieci uderzyli jeszcze raz na Polaków. Bój rozegrał się w okolicach stacji kolejowej. Natarcie bolszewików zatrzy-

mały polskie cekaemy. „Do ataku ruszyły oddziały 79 Pułku Piechoty, w tym czasie żołnierze 83 Pułku Piechoty oskrzydłili czerwonoarmistów i Polacy przełamali szyki nieprzyjaciela” – opisuje historyk.

Polacy zdobyli armatę przeciwpancerną, sporo ręcznych i ciężkich karabinów maszynowych, do niewoli dostało się około 60 jeńców. Wiele z nich na własną prośbę także wstąpiło w szeregi polskiego wojska i walczyło później z Niemcami pod Kockiem. ■



Wojskowy Instytut Wydawniczy

Chcesz wiedzieć więcej?
Zajrzyj na Portal polska-zbrojna.pl
oraz do innych naszych
wydawnictw:



Nasze wydawnictwa kupisz
w sklepie internetowym:
sklep.polska-zbrojna.pl



Zamów prenumeratę
już od bieżącego
numeru.

**POLSKA
ZBROJNA**

**HISTORIA
POLSKA
ZBROJNA**

wiiw

Projekt zrealizowany pod redakcją
Piotra Korczyńskiego
Opracowanie graficzne:
Wydział Składu Komputerowego i Grafiki WIW,
Dariusz Mikołajczyk
Redakcja i korekta:
Wydział Opracowania Stylistycznego WIW
Ilustracja na okładce: Piotr Korczyński

Konsultacja historyczna:
Wydział Wydawnictw Historycznych, Książkowych
i Specjalnych WIW,
dr Robert Sendek, dr Jacek Żurek
Druk: ArtDruk Zakład Poligraficzny
ul. Napoleona 2
05-230 Kobylka

POLSKA-ZBROJNA.PL

Wojskowy Instytut Wydawniczy
Dyrektor: Ewa Korsak
Aleje Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa
Miesięcznik „Polska Zbrojna”
Zastępca redaktora naczelnego: Aneta Wiśniewska
Portal www.polska-zbrojna.pl
Redaktor naczelny: Magdalena Miernicka
Kwartalnik „Polska Zbrojna. Historia”
Redaktor naczelny: Piotr Korczyński

PIEŚŃ O ŻOŁNIERZACH Z WESTERPLATTE



LE CZ GDY WIATR ZIMNY BĘDZIE DAŁ
I SMUTEK KRAJEM ŚWIATEM,
W ŚRODEK WARSZAWY SPŁYNIEMY W DÓŁ,
ŻOŁNIERZE Z WESTERPLATTE



SK. K. I. GAŁCZYŃSKI
RYS. P. KORCZYŃSKI